

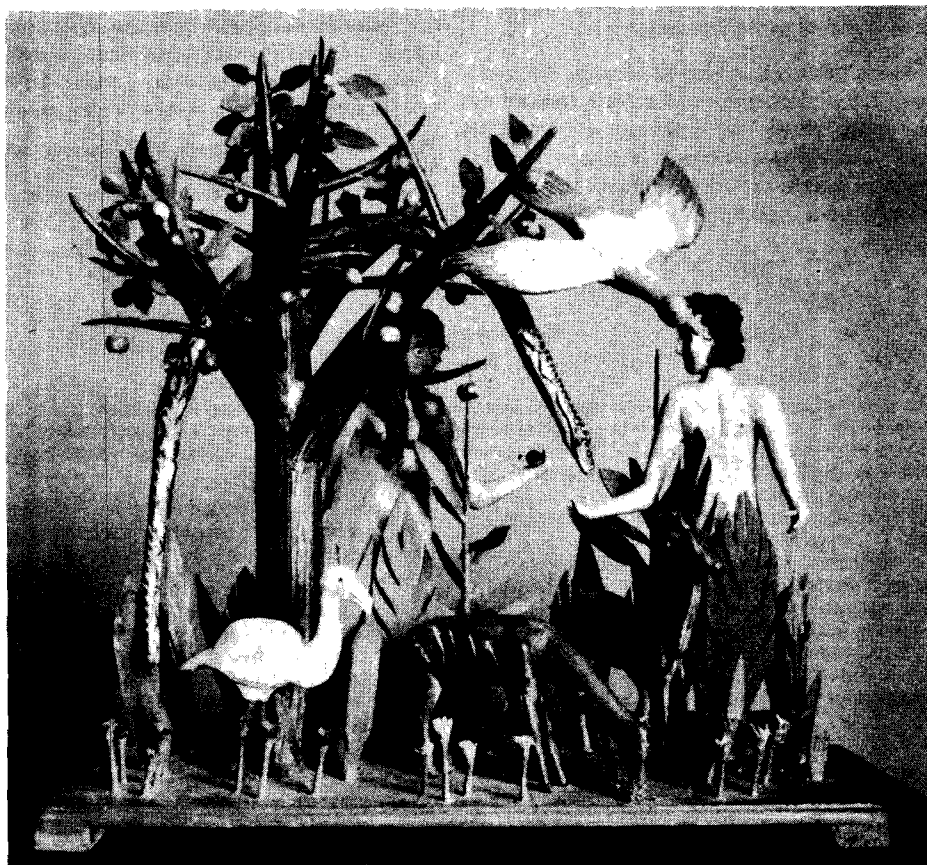
TWÓRCZOŚĆ PÓŹNEGO WIEKU

W sztuce profesjonalnej zjawisko to nie istnieje. Ciąg życia i twórczości układa się w logiczną linię wiodącą od dzieciństwa przez poszukiwania lat młodości, studia artystyczne, pasma klęsk bądź sukcesów, wreszcie stabilizację swego *image*, stylu. Ale w twórczości, którą nazywamy ludową, a także w malarstwie i rzeźbie amatorów występuje fenomen nie znany w sztuce „wielkiej” – otóż dopiero w podeszłym wieku, po przejściu na rentę lub emeryturę, wypadnięciu z dotychczasowego rytmu życia zaczyna się faza twórczości. Jakby niczym nie poprzedzona. Od razu, od pierwszych prób dojrzala, określona w swoim stylu, odrębności. Jest to niemal regułą, tak jak regułą jest, że w młodych latach szuka się, próbuje, określa swój kierunek rozwoju, który dopiero w toku tworzenia zyskuje kształt, pielęgnowany już później i rozwijany przez artystę.

Starzy ludzie nie szukają. Oni znajdują. Oni już ten kształt mają w sobie, nie wiedząc nawet o tym. Być może w przyszłości, dysponując precyzyjnymi narzędziami poznania, będzie można dostrzec ten proces formowania się ekspresji, dziś pisząc o niej, skazani jesteśmy na intuicję. Co jednak możemy powiedzieć na pewno? Że istnieje zależność między wykonywanym zawodem,

między uzyskaną sprawnością, zwłaszcza manualną a charakterem późniejszej twórczości; że istnieje wyraźna więź między wspomnieniami, marzeniami, filozofią życia a tematyką i charakterem twórczości; że na formę wypowiedzi mogą (choć nie muszą) wywierać wpływ obrazy, rzeźby czy ornamenty widziane w latach młodości. Na starość bowiem wraca się zazwyczaj do wspomnień, osobowość jest już ukształtowana na wzorach z lat, gdy jeszcze wrażliwość była ostra, pamięć chłonna, nawyki nie ukształtowane.

Ktoś, kto uprawiał stolarkę, był mechanikiem czy jubilerem – skoro zacznie na stare lata rzeźbić lub malować, będzie miał większą sprawność i co naturalne, raczej tendencję wypowiedzi realistycznej. Natomiast ludzie nawykli do ciężkiej pracy fizycznej – górnicy, rolnicy, drwale – mają ręce mniej sprawne. Instynktownie wybierają formę wypowiedzi bardziej umowną, posługując się znakiem, gestem. Mona Liza wyraża uśmiechem wszystko, artysta o ograniczonych możliwościach warsztatowych musi szukać środków bardziej ekspresywnych. Więc nie subtelna gra wyrazów twarzy, lecz gest – jak Skargi u Matejki, jak Frasobliwy w sztuce ludowej.



II. 1. K. Nowek, *Święta Rodzina*



II. 2. K. Nowek, *Golgota*

Zrozumiałe, że hafciarka ma większe predyspozycje, by zaczynając na stare lata przygodę ze sztuką, posłużyć się swym zawodowym doświadczeniem niż amatorka ze środowiska inteligenckiego. Pierwsza, wychowana w kręgu estetyki wiejskiej, ludowej, będzie miała inną intuicję artystyczną niż inteligentka, której wyobraźnia estetyczna została ukształtowana na obrazach Kossaka, Fałata, Wyspiańskiego.

Decyzja zostania artystą bywa często nieoczekiwana, wręcz zaskakuje (Długosz, *Hel Enri*), czasem stanowi powrót do młodzieńczych marzeń i zamiarów. Oczywiście zawsze istnieje jakiś detonator, fakt, sytuacja, która wpływa na decyzję.

Motywy bywają różne, można jednak wskazać występujące najczęściej. Są nimi:

- potrzeba wypełnienia pustki, która powstała na skutek przejścia na emeryturę, inwalidztwo, śmierci najbliższych. Wiąże się to z dążeniem psychiki do homeostatycznego pokonania stresu, znalezienia zastępczej formy życia, nowego zainteresowania, celu. Nowa czynność, nowa pasja pozwala nadal zachować aktywność, a niekiedy nawet wręcz tę aktywność wyzwala (Długosz);
- chęć zostawienia śladu po sobie, pamiątki bliskim. Chęć sprawdzenia się w wieku, kiedy coraz mniej nadziei i szans;
- chęć powrotu do lat młodzieńczych, ówczesnych doznań, zamierzeń, nadziei. Ucieczka od rzeczywistości we wspomnienia, inny, lepszy świat;
- nadzieja zarobku, poprawienia swej sytuacji materialnej;
- chęć bycia kimś innym, artystą (motyw występujący wówczas, gdy tę rolę ceni się wysoko, traktuje jako awans społeczny).

Twórczość, która się objawia w późnym okresie życia bywa jak łuk, rozpięty między tym czasem a dzieciństwem, pozwala wrócić do lat, gdy intensywnie przeżywało się świat, zapach łąk, szelest traw, pierwszą miłość. Nagle człowiek sobie przypomina, że kiedyś lubił malować, a jego obrazek Pani powiesił na szkolnej wystawie, że pasąc krowy – strugał z drewna i kory różne lalki, samoloty, okręty. Życie zatacza krąg, wracamy do znaków dzie-

ciństwa, niczym stary Kane z filmu Orsona Wellesa, stajemy się bardziej wrażliwi, spragnieni uczuć, bezbronni. Nasze córki i synowie mawiają wówczas – zdziecinniał dziadzio. Zdziecinniał, mówili sąsiedzi, gdy stary Ignacy Kamiński z Oraczewa zaczął rzeźbić figurki z drewna, on, szanowany gospodarz, poseł na Sejm, społecznik. Odbiło mu! – usłyszałem od sąsiadów Alfreda Długosza, zdziwionych, że zamiast spokojnie siedzieć i nic nie robić, rozwija wręcz niezwykłą aktywność artystyczną.

Można zadać pytanie dlaczego spośród setek ludzi w podobnej sytuacji, tylko niektórzy decydują się na wybór artystycznych form ekspresji. Sądzę, że na decyzję taką wpływa przede wszystkim potrzeba aktywności, potrzeba działania. Realizuje się ona na wiele sposobów: jedni coś kłecą, inni hodują króliki, łowią ryby, przez lata formują nową odmianę róż, propagują Pismo Święte, działają w kółkach parafialnych, sektach, organizacjach społecznych, niektórzy śpiewają w chórze kościelnym, grają w orkiestrze dętej. Ci, którym z jakiegoś powodu bliższe są formy wypowiedzi plastycznej, malują i rzeźbią. Sądzę, że wpływa na taki wybór nie tylko dyspozycja, ale i świadomość, że jest to godna szacunku forma ekspresji, wiążącej się z awansem kulturowym („być artystą”!). Niekiedy wspomina się kogoś, kto kiedyś malował. Maria Michałowska, znakomita malarka, jakby wróciła – zaczynając malować – do lat młodzieńczych, kiedy to jako pielęgniarka zakochała się w rannym żołnierzu, malarzu i którego z woli rodziców, straciła. Zaczęła malować, gdy tylko warunki życia na to pozwoliły, gdy już nie była potrzebna dzieciom, rodzinie. Wracała do punktu, w którym droga jej życia ukształtowała się inaczej niż chciała.

Wybór formy ekspresji wiąże się przeważnie z przekonaniem, iż jest ona adekwatna do posiadanych możliwości. W przypadku twórców wiejskich, w rzeźbie mają oni wzorce: kapliczkowy i „cepeliowski”, które wydają się w zasięgu możliwości. Nikt nie przypomina się do Donatella, Dunikowskiego czy Henri Moora, a jeśli nawet, to nie rozumiejąc problemów artystycznych tego rodzaju twórczości. Najbardziej ciekawe artystycznie, samodziel-

ne i jednolite w swej strukturze są obrazy i rzeźby ludzi, którzy nie mieli wzorów, na których mogliby się oprzeć, którzy tworzą „jak ptak śpiewa”, poza konwencjami uznanymi przez środowisko (np. Oleksy, Hołda, Słomiński, Sobota). Sztuka, o której piszę jest samotna, jest głosem z oddali, z reguły nie rozumiana i nie ceniona przez własne środowisko. Jeśli znajduje rezonans, to u ludzi z innego środowiska, koneserów, artystów. Amatorzy-malarze, zaczynający w późnym wieku, starają się na ogół o wypowiedź podobną do sztuki znanej im z lat młodości. Zachętą dla nich jest obserwacja innych amatorów. Obniża to znacznie poprzeczkę, którą chcieliby sobie ustawić. Odczuwają radość, gdy uda im się namalować obraz podobny do innych, widzianych przez nich. Amatora bardziej cieszy, że udało mu się aż tak dobrze przedstawić temat, niż frasuje poczucie swej niedoskonałości. Często w ogóle jej nie dostrzega. Wbrew bowiem temu, co się zazwyczaj sądzi, amatorskie uprawianie sztuki samo przez się nie rozszerza horyzontów, nie pogłębia widzenia problematyki artystycznej, wiedzie natomiast do petryfikacji już osiągniętego sposobu wypowiedzi.

Znajomość wzorów, konwencji, prądów artystycznych bynajmniej nie sprzyja oryginalności i śmiałości dzieł. Śmiałość tę i oryginalność ma się w dwóch, pozornie przeciwstawnych, sytuacjach: pełnej niewiedzy, kiedy się jest zdany tylko na intuicję i wyobraźnię, samemu dochodzi do sposobu i formy wypowiedzi – oraz wówczas, gdy się umie, wiedząc wiele, wiedzę tę przekroczyć, odnaleźć siebie na najwyższym piętrze twórczości. Wiedza może być bodźcem, ale też często onieśmiela, ciąży na wyobraźni. Pewnie dlatego wśród malarzy i rzeźbiarzy „późnego wieku” tak niewielu spotyka się świadomych tego, czym może być sztuka. Ta ich nieświadomość bywa jednak błogosławiona, zwłaszcza, gdy dodaje śmiałości, gdy wyzwala intuicję twórczą.

Cztery sylwetki, które przedstawiam, nie naświetlają wszystkich aspektów problemu, sądzę jednak, że wskazują na istotne cechy twórczości późnego wieku, na jej kompensacyjny charakter, pobudki działania i rolę w życiu człowieka.

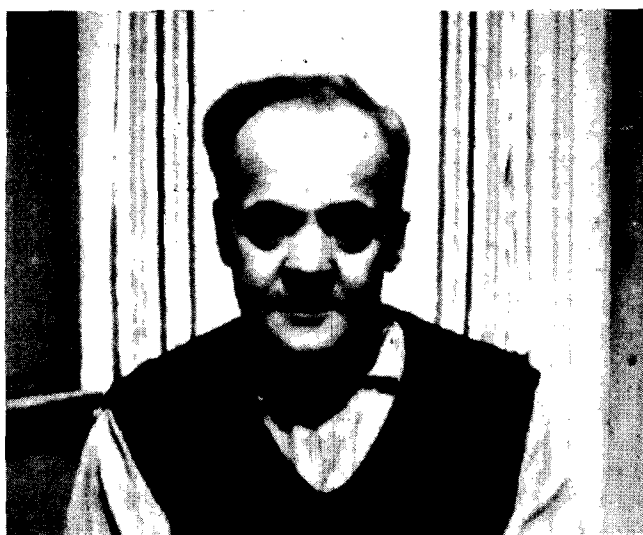
Konstanty Nowek

Ur. 16.02.1908 r. we wsi Świerczów, woj. kieleckie. Żadnych cech artysty! Zmęczony stary człowiek, całe życie pracujący w swym zawodzie. Kim jest? stolarzem – odpowiada. Rzeźba to zajęcie w latach, gdy już nie starczało sił na ciężką pracę w stolarni. Nie traktuje jej jako coś szczególnego, lepszego. Rzeźbił, ponieważ umiał obchodzić się z drewnem, dłem,

raszplą, papierem ściernym. Rzeźbił, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jest to zajęcie dzisiaj godne, że w sąsiedniej wsi niezbyt ceniony przez niego rzeźbiarz sporo zarabia, fabrykując jedną po drugiej, podobną figurkę. Rzeźbił starannie, z powagą, żadnej fuchy, jak solidny rzemieślnik. Bez pośpiechu, obmyślając gest, wyraz twarzy, atrybuty. Potem malował olejno, żeby rzeźba długie lata mogła istnieć. Żeby jego przeżyła, świadcząc o talencie i umiejętnościach.

Ciesz go, że jego figurki kupują, że jak mówi – idą w świat. Cieszy, że nawet ksiądz z Odrowąża chciał do kościoła dużą, ponad metr liczącą rzeźbę Jana Pawła II. Ale jej nie sprzedał. Zrobił ją, jak te figury świętych w kościele, starannie, z szacunkiem, prawie 2 lata pracował, skończył akurat na przyjazd Papieża do Ojczyzny. Jak taką rzeźbę sprzedać? Papieża? Zostawił ją w domu. Teraz, gdy już od kilku lat nie rzeźbi, bo zdrowie nie pozwala, zostawił sobie tylko dwie figury – Ojca Świętego i Generała Jaruzelskiego. Papieża on nie chciał sprzedać, Generała nikt nie chciał kupić. A też się przy tej rzeźbie napracował! Wszystko jest jak należy, wężyki na czapce, guziki, ciemne okulary. Generał jak w telewizji.

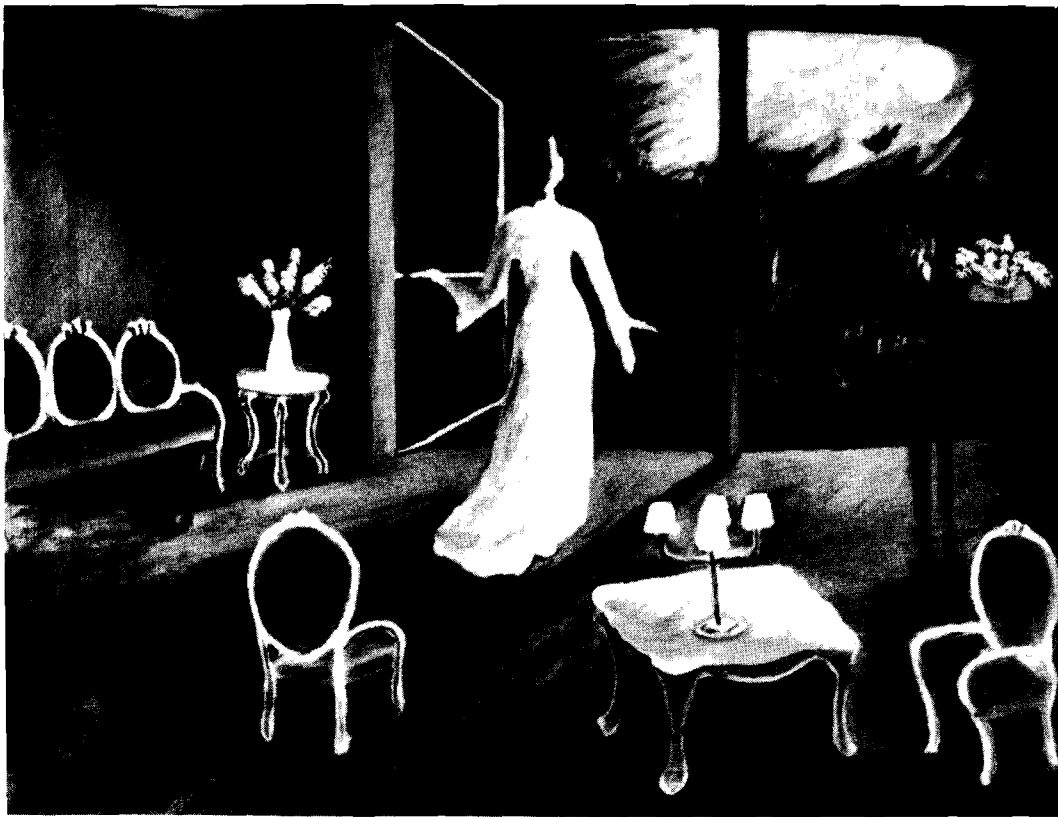
Nowek pochodzi z rodziny chłopskiej, całe życie mieszka w Świerczowie, w pobliżu szosy łączącej Końskie z Suchedniowem. Rodzice przeznaczili go, gdy dorósł do zawodu stolarza. Po ukończeniu 5 klas podstawówki poszedł więc na naukę do pana Wiśniewskiego w pobliskim Pardołowie. Po 4 latach rozpoczął terminowanie, zajmował się ciesiolką, wyrobem mebli. Założył rodzinę, wybudował dom, ale wojna zniszczyła wszystko. Niemcy spalili wieś. Nastąpiły trudne lata, odbudowy domów, gospodarstw. Dopiero w 1967 r. zdołał otworzyć własny zakład stolarski, który zapewniał byt rodzinie (miał żonę, dwóch synów i córkę). Ale sił starczyło tylko na 10 lat. Chorował, nie mógł już stawać przy maszynie, podnosić ciężkie kłoc drewna. Przeszedł więc na rentę. I wtedy pomyślał o rzeźbieniu. Dlatego, że łatwiejsze, ale – tłumaczy się – także dlatego, że już jako dziecko lubił rysować i malować. Drażnił go też ten Ulc, w pobliskiej wsi. Skoro on może, to czemu nie ja, który lepiej przecież znam się na stolarskiej robocie – myślał zapewne. Mając 74 lata zaczął więc nową życiową przygodę, został ludowym rzeźbiarzem. Strugał figurki grajków weselnych, postacie wiejskie, także podejmował tematy religijne, jak reprodukowane tu kompozycje *Święta Rodzina* i *Adam i Ewa*. Zawsze rzeźbił w drewnie lipowym a potem figurki starannie malował. Żeby było ładniej, żeby było prawdziwiej i żeby dłużej mogły przetrwać. Nawet w kapliczce, na wietrze, deszczu i zimnie. Wykonywał też,



II. 3. Konstanty Nowek



II. 4. Halina Walicka



II. 5. Halina Walicka, *Lunatyčka*, ol./pt. 60×75 cm

wykorzystując oprządkowanie warsztatu, lampy stojące, przyozdobione małymi figurkami ludzi, zwierząt.

Teraz nie ma już sił nawet na rzeźbienie. Mieszka z najstarszym, chorym synem. Odczuwa satysfakcję z tego, że jest rzeźbiarzem, że jego prace kupiło Muzeum Etnograficzne w Krakowie, że pisano o nim w gazetach. O stolarzu by przecież nie napisali, a o rzeźbiarzu piszą! Nawet Instytut Sztuki w Warszawie się nim interesuje ...

Halina Walicka

Urodziła się 28 grudnia 1901 roku w Warszawie.

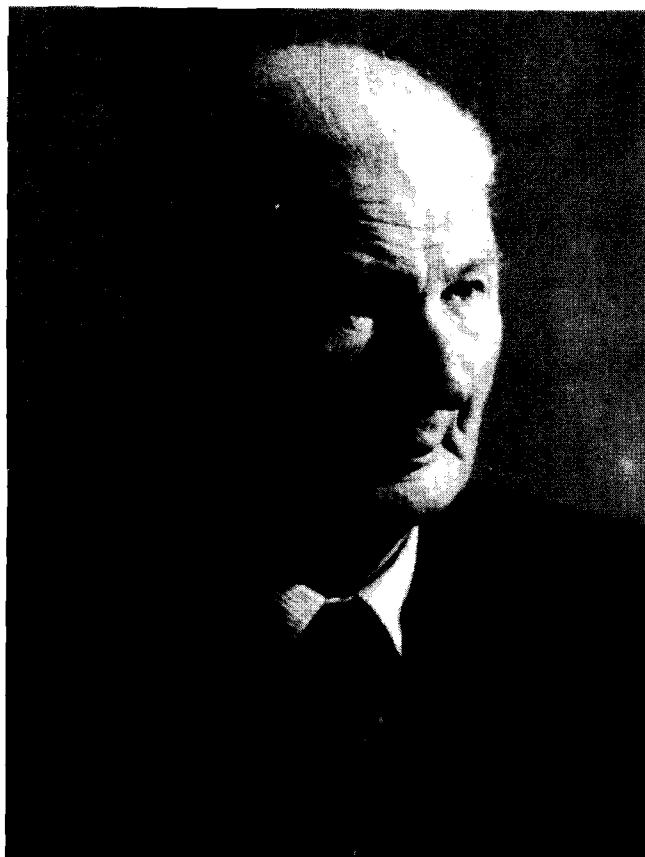
Zacząła malować późno, mając 65 lat. Przed tym nigdy o tym nie myślała, nie było zresztą kiedy. Praca pochłaniała ją całkowicie, nie zostawiając żadnego niedosytu, żadnej szczeliny dla innych zainteresowań. Była pielęgniarką z wykształcenia i z powołania. Lubiła swych pacjentów, serdeczna, życzliwa, uśmiechnięta. Codziennie przynosiła ze szpitala kwiaty. Po co więc było malować?

Szokiem stało się dla niej przejście na emeryturę. Dotąd czynna, potrzebna ludziom, witalna, teraz siedziała samotnie w pokoju. Męczyła się, gasła w oczach. Do tego dołączył się następny cios, śmierć ukochanej matki. Była załamana. Wtedy córka, psycholog, poradziła matce, aby zaczęła malować. Co? Co chce, co pamięta, co by chciała utrwalić w obrazie. Spróbowała. Jej obrazy, jak to zawsze bywa u ludzi późno zaczynających tworzyć były „gotowe” już od początku. Jej sprawność ręki, wrażliwość na kształt i barwę zostały ukształtowane wcześniej, w innych życiowych doświadczeniach. Nie musiała niczego szukać, od pierwszych obrazów była sobą, opowiadała o tym, co było jej bliskie, co chciała utrwalić i przekazać innym. Pojawiły się smętne, rozległe pejzaże, bukiety kwiatów, sceny w eleganckich salonach. Dobro, piękno, wykwint i ... naiwność wynikająca właśnie z tej dobroci, z sięgania po dawne wspomnienia, piękne, dalekie od brutalnych

realiów życia. W jej obrazach jest nastrój, zaduma. We wnętrzach, pozornie pustych, czuje się obecność człowieka, światło nafotowanej lampy oświetla fotele, na których – wydaje się – ktoś przed chwilą siedział. Za oknami jezioro, park, odległy horyzont, w salonie fortepian, biedermeierowskie meble, kobiety jak z poematów Lermontowa. Te wnętrza tak niedzisiejsze, wyrażają nostalgię za czasem utraconym, za światem odchodzącym. Pejzaże są smutne, rozświetlone blaskiem zachodzącego słońca, kwiaty wychylają się ku światłu, płynącemu z okna, świece tajemniczym blaskiem wydobywając kształt przedmiotów o nieoczekiwanym zmienionej skali, jakby o innym, ukrytym sensie swej egzystencji. Właśnie światło nadaje tym obrazom tajemniczy i nieomal symboliczny charakter, odrealnia przedmioty, nasycza je szczególnym pięknem.

Dzieciństwo i młodość spędziła w Rosji oraz na Polesiu, gdzie pracowała do wybuchu wojny. Bagna, uroczyska, ogromne niebo, daleka smuga horyzontu najsilniej utrwaliły się w jej pamięci. „Zawsze modliłam się do przyrody, do przestrzeni, do kolorów i podziwiałam ludzi, którzy umieją malować”. Nigdy nie malowała gór. Było jej w nich za ciasno. „Muszę mieć horyzont ... Morza też nie maluję, jest groźne, nieprzyjazne. A pociąga mnie spokój przyrody, dal, księżyc, okna przez które widać piękny krajobraz”. Malowanie stało się dla niej źródłem radości, nowym sensem życia, ale – mówiła – lubię każdy obraz póki go maluję. Potem nie wiem już jaki jest. Czasem zastanawiała się czy ma sens to malowanie. Wątpliwości rozpraszała córka, najlepszy odbiorca jej dzieł, oddana matce absolutnie. Organizowała wystawy, czyniła wszystko co mogła, aby matka miała poczucie, iż jest potrzebna i ceniona.

Obrazy Haliny Walickiej przedstawiają świat łagodny. Idylla malowana przez kobietę mądrą i doświadczoną, której życie było trudne, która straciła ojca, męża i trzech braci (w Oświęcimiu), przeżyła rewolucję, lata okupacji, żyła w zrujnowanej Warszawie, widziała rzeczy straszne, cierpienia i śmierć. Zmarła w Warszawie 15 lipca 1980 roku.



Miał 81 lat, gdy rozpoczął drugi etap swojego życia. Twórczy. Widział już źle, malował jednak i rzeźbił z niezwykłą pasją, jakby chciał zaprzeczyć prawom natury, dogonić stracony czas. Swym działaniem wypełniał lukę w życiu kulturalnym Gorlic, organizując środowisko artystyczne, wystawiając, upowszechniając wiedzę o sztuce. „Pan jest chodzącym Domem Kultury i Biurem Wystaw Artystycznych” napisałem do niego w liście. Odpowiedział z powagą, informując o tym, czego dokonał (a było to na 2 lata przed jego śmiercią). „Malarstwu poświęciłem co najmniej 30.000 godzin. Namalowałem 3.000 obrazów, rzeźb zrobiłem kilkaset. Wystaw własnych miałem 23 a udział wziąłem w ponad 100. Do tego niech Pan doda 170 spotkań z młodzieżą i prelekcji o sztuce”. Dużo przy tym pisał listów, rozważań o sztuce i własnym życiu. Jego energia zdumiewała. Nie załamał się nawet wtedy, gdy ciężko chory, z ropiejącym guzem w mózgu, doznał porażenia prawej strony ciała. „Będę musiał, jak się polepszy, malować lewą ręką – donosił w liście napisanym pod jego dyktando. Bez twórczości nie miałbym po co żyć”. Kończył wtedy 95 lat. Po kilku tygodniach pisał już sam „Mam możność w jaśniejszych momentach utrzymania pędzla, co daje ciekawe efekty”. Cierpiał jednak i zdawał sobie sprawę, że życie jego osiąga kres. Poprosił wtedy, żebym przyjechał. Byłem przecież nie tylko panem Jackowskim, ale przede wszystkim reprezentantem Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Chciał przekazać swój dorobek, wierzył, że może przydać się ludziom. „Niech Pan się śpieszy” ponaglał. Niech Pan przyjedzie, on czekał prosił w innym liście pensjonariusze Domu Rencisty, w którym przebywał. Pojechałem. Spotkał mnie dyrektor. Martwił się: „Nie wiem, czy Pana pozna, on by już nie żył, trzyma go tylko to czekania na Pana”. Wszedłem do separatu. Leżał z obandażowaną głową, rysy miał wyostrome, ciężki oddech. Na stoliku leżały przewiązane różową wstążką teczki z obrazkami, listami i dokumentacją. Otworzył oczy, rozpromienił się, objął mnie, ucałował jak syna. „Teraz mogę już umrzeć... powiedział niespodzianie głośno. Paniel ja miałem szczęśliwe życie – ja byłem artystą, malarzem!”.

Jak do tego doszło? Cofnijmy się do początku. Urodził się 2 czerwca 1877 roku w Krzeszowicach. Pochodził z rodziny naftowców. Ojciec, naczelnik sądu, miał udział w szybach, brat dorobił się na nafcie, był w latach międzywojennych senatorem. Alfred gimnazjum ukończył w Bochni, potem przeniósł się do Krakowa z zamiarem podjęcia studiów w Akademii Górniczej, zdał nawet egzamin wiertniczy i odbył praktykę, ale gdy okazało się, że ropa wywołuje u niego alergię zaczął studia prawnicze. Po dyplomie, w 1900 roku podjął pracę jako urzędnik w Ministerstwie Finansów (w Wiedniu), a w latach międzywojennych był między innymi kierownikiem wydziału w lwowskiej Izbie Skarbowej. Na emeryturę przeszedł w 1930 roku ponieważ miał trudności z poruszaniem się. Tracił wzrok. Na skutek zaćmy widział wszystko niewyraźnie i podwójnie. „Każdy przechodził miał swojego sobowtóra” – pisał. Trzy razy go operowano. „Gdy wyłuskowano soczewki z oczu widziałem nad sobą cudowny błękit. Świat przedstawiał się bajecznie, kolorowo jak w kalejdoskopie. Trwało to jednak niedługo...” Widział tylko przez sztuczne soczewki – okulary, ograniczoną przestrzeń, jak wtedy, gdy się patrzy przez lornetkę.

W 1940 roku pozostawił cały dobytek i przeniósł się wraz z żoną do Gorlic. Tam, po wojnie, podjął pracę w Urzędzie Ziemskim, później w Prezydium Rady Narodowej a ostatnie 16 lat przepracował malując wzory na ceramice w Zakładach „Keram”. W tym czasie zachorowała mu ciężko żona, nie mogła wstać z łóżka i, jak pisze „Przez prawie 8 lat wracając z pracy do domu zakładałem fartuch pielęgniarzki i starałem się Jej ulżyć w cierpieniach”. Gdy umarła ogarnęła go depresja, obowiązki spełniał jak automat. Niczego już nie chciał, poza śmiercią. Przestał pracować. Postanowił jednak pożegnać się z górami, które tak kochał. „Tyle lat wracałem do nich, chodząc po perciach, wspinając się na szczyty. Pojechałem więc do Zakopanego. Pamiętam ten dzień, 30 marca 1958. Świeciło słońce, w górach leżał śnieg. Wyszedłem na balkon. Przede mną roztaczało się misterium Tatr. Wtedy poczułem nieodparte pragnienie malowania tego co widzę”. Nie zwlekając kupił blok rysunkowy, akwarele i pędzel. Usiadł przy oknie i zaczął malować. Od tego czasu malowanie stało się treścią jego życia.

Oczywiście w obrazach Długosza dostrzec można refleksy kierunków artystycznych końca ubiegłego i początku naszego wieku. Był to okres jego młodości, urzeczenia teatrem, cyganerią artystyczną. Przyjaźnił się wówczas z Karolem Fryczem, chodził na wernisaże malarskie, podróżował po Europie, zwiedzając muzea i galerie sztuki. Trochę szkicował, rysował, później – w latach międzywojennych próbował nawet malować olejno, ale nie miał do tych prób ani zbytnej ochoty, ani cierpliwości. Nie chciało mu się „babrać olejami”, roznosiła go energia, lubił wesołe towarzystwo, jasnowłose panienki, kolegów, wyprawy w góry, pikniki. Teraz po 60 latach wszystko wydało mu się odległe i nie przydatne. Był stary, widział z trudem i to tylko w okularach, w dodatku innych do dali a innych do patrzenia z bliska. Nie mógł więc patrzeć i jednocześnie rysować. Musiał malować z pamięci, nawet wtedy, gdy był na plenerze. Najpierw, siedząc na stołeczku oglądał to, co chciał malować, a potem w domu, zmieniawszy okulary – próbował przekazać na arkusze brystolu zapamiętane wrażenie. Szukał dostępnych sobie sposobów wypowiedzi, świadom tego, że nie ma już czasu i warunków na studia anatomii, czy rysunek perspektywiczny. Malował impresyjne pejzaże i sceny, dużą wagę przywiązując do zróżnicowania faktury. Fascynowała go zależność między fizjologią a widzeniem, którą doświadczył na sobie w okresie pooperacyjnym. „Osnulem sobie teorię, pisał, że my wszyscy źle widzimy, że świat jest bajecznie kolorowy”. Pokazywał notatki pisane po odzyskaniu wzroku: „Kremowa bluzka paliła się żółcią. Cień

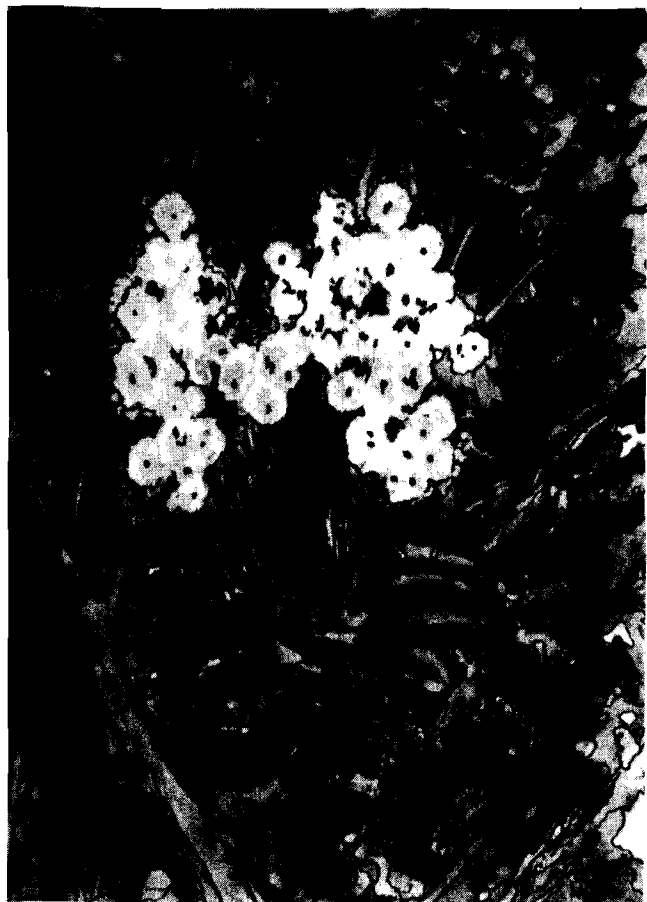
krzesła to był głęboki fiolet..." Niestety intensywność widzenia świata zniknęła. Bardzo tego żałował, zaczął więc malować cykle obrazów, w których wracał do tych różnych faz widzenia. Zainteresował się impresjonizmem, zaczął czytać książki o sztuce, o różnych prądach artystycznych. To co czytał interpretował poprzez własne doświadczenia. Bliski mu był taszczym a także symbolizm. W jednej z książek przeczytał o metodzie wolnych skojarzeń u Strindberga. Uznał, że właśnie o to mu chodzi. Istotne było hasło, malował więc drzewa smagane wiatrem i deszczem – i tytułował obraz *Preludium Deszczowe Chopina*. Wawel kojarzył z wezbraną wodą Wisły. „Mam jednak wątpliwości, przyznał się w jednym z listów, że w moich kompozycjach za dużo myśli, nie ma zaś przypadkowości na której Strindbergowi tak zależy”.

Malował cykle: „Nasze Tatry”, „Nasze kwiaty”, „Ja bajki tak lubię”, „Kosmos”; niemal zawsze temperą, w identycznym formacie brystolu z bloku rysunkowego. Szkiców rysunkowych nie robił. „Obraz opanowuje moją rękę” – wyjaśniał. Marzył o tym, aby mieć halucynacje, wspaniałe doznanie, ale w tym, co przedstawiał (nawet w serii scen z kosmosu) wyobraźnię miał bardzo konkretną, nie wykraczającą poza świat bajek i legend. Rzeźby formował ze sztucznych kamieni, nazywał je „Jaskiniowymi naciekami”. Rzeczywiście przypominały stalaktyty lub koralowe rafy.

Do tego co robił przywiązywał dużą wagę. Chciał zarażać ludzi miłością do sztuki, chciał dawać im radość. I dawał. Zmarł w Gorlicach 9 lutego 1972 roku. Na tle innych amatorów był postacią wyjątkową, przykładem tego co może dać człowiekowi twórcza pasja, umiłowanie sztuki.



II. 8. A. Długosz, *Marsz żałobny*



II. 7. A. Długosz *Pierwiosnka*, z cyklu „Kolorowe pieśni”, akwarela, 42×30 cm; 1955

Z OSTATNICH LISTÓW ALFREDA DŁUGOSZA

Gorlice, 11 kwietnia 1971 r.
Dom Rencisty

Drogi Panie Redaktorze! Dziękuję za pozdrowienia przesłane przez Panią Chojak. Obecnie moja głowa znajduje się w stadium wyleczenia po dokonanej operacji raka, który usadowił się na głowie. Ciężka operacja trwała ponad godzinę – bez znieczulenia bardzo bolesna. (...) Wszystkie bolejące miejsca wypalono elektrycznie – iskry syjące się z tego trzaskotały tak, że słyszałem jakby ktoś na głowie łamał patyki. Ustały moje wielomiesięczne cierpienia a to grunt. Ból wypłoszył z jakiejś komórki mózgowej moją fantazję i kazał jej nieść ulgę w cierpieniu pobudzając moją pasję naukową. Czytając Aleksandra Wojciechowskiego *Z dziejów malarstwa pejzażowego* znalazłem rozdział „casus Strindberg – sztuka swobodnych skojarzeń”. (...) o genialnym szwedzkim dramaturgu, malarzu i teoretyku sztuki. Pozycja jego w dziejach współczesnego malarstwa opiera się głównie na intuicyjnym odkryciu problematyki, dla której odpowiednią formę plastyczną znajdzie dopiero sztuka naszego czasu.

Przedemną stanęły dwa dylematy – kontynuacja strindbergowskiego pejzażu, w którym odgrywają główną rolę swobodne skojarzenia lub przyjęcie swobodnych skojarzeń jako twórczą formę.

Aby kontynuować u nas pejzaż strindbergowski trzeba by widzieć, jak to wygląda. Niestety moje poszukiwania za jakąś ilustracją tego pejzażu pozostały bez skutku.

Odniosłem się do Ministerstwa Kultury i Sztuki – Biuro Współpracy Kulturalnej z Zagranicą z prośbą o zwrócenie się do Poselstwa Szwedzkiego w sprawie przysłania mi takiej ilustracji. Na razie czekam. Maluję (...) Te moje swobodne skojarzenia nie łączą się ze strindbergowskimi, lecz są tworem mojej fantazji. Czy to kontynuować dalej, czy dać spokój? Chciałbym, aby Pan

ocenil i zdecydował, czy warto się tym bawić. Poślę Panu kilka swych swobodnych skojarzeń. Wiem, że Pan ma moc pracy i trudno przyjechać, ale tak bym chciał z Panem porozmawiać. Ja już nie mam czasu – kończę 94 rok a życie moje liczę na godziny, a może na dni. Maluję inaczej niż dawniej. Czytam z trudnością, ale malować nie przestanę do ostatniego tchu. Mocno i serdecznie ściskam dłoń.

Oddany Alfred DŁUGOSZ
Proszę wybaczyć pismo ślepeca

Gorlice, 21 październik 1971 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Finita la comedia! Przedwczoraj rzuciło mnie na ziemię w pokoju, odbierając władzę w prawej nodze i ręce. Przechodzący sąsiad wszedł do pokoju, za chwilę leżałem na łóżku, obok pielęgniarka i wszystko, co mi pozwoliła – sięść na łóżku i czytać Ligockiego *Trzy spotkania ze światem widzialnym*.

Zbliżam się w szybkim tempie do nirwany, a mam jeszcze załatwić kilka spraw. Sprawa strindbergowskiego pejzażu na dobrej drodze. Redakcja pisma „Polska” obiecała dostarczyć potrzebne mi ilustracje ze Szwecji. W miesiącu listopadzie będę 3 razy wystawiał, a to indywidualnie w Muzeum Krosno i Sanok, wystawa konkursowa w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych, w Przemyślu. Związki chcą bym przyjechał na wernisaż. Wątpię jednak, czy konsylium zgodzi się na tę podróż, a chciałbym być tam i powiedzieć parę słów pod adresem Wojewódzkiego Domu Kultury, który nie raczy nawet odpowiadać na listy. Na propozycję indywidualnej wystawy nie powiedziano nawet słowa „nie”. Przyczyna tego niewytłumaczalna. Z mojej strony nie ma winy, chyba że maluję inaczej, jak brzydko nazwani plastycy-amatorzy. (...) Na plener do Sanoka jechać nie mogę, ale na wystawę posłałem 5 na dykie malowanych ikon. (...) W naszym Domu Dyrektor urządził wystawę moich rzeźb. W Gorlicach czwarty raz. Jest odremontowany zabytkowy budynek Zboru Arjańskiego – ładna salka wystawowa – tam miała być moja wystawa, nawet termin był wyznaczony, ale mówią, że chcą tam zrobić czwartą kawiarnię!

Za dwa-trzy dni do mnie po eksponaty przyjedzie ... (?) Dyrektor Muzeum w Krośnie z p. Tokarzewskim (?) historykiem sztuki. Cieszę się Jego sympatią. Tak idą ostatnie chwile mojej wędrówki ziemskiej. Łączę moc pozdrowień i uścisk dłoni.

Alfred DŁUGOSZ

Gorlice, 5.XII.1971

Wielce Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Sam już nie mogę pisać, dlatego dyktuję. Pański list sprawił mi niesłychaną radość, zaraz poczułem się mocniejszy i samopoczucie wzrosło. U mnie w pokoiku leży przeszło 500 obrazów, na które składają się 2 serie noszące tytuł: „Te inne” i „Swobodne skojarzenia”. Z pierwszej serii ma Pan kilka u siebie w Instytucie, „Swobodne skojarzenia”, a będzie ich około 60 przeznaczam do Pana dyspozycji. (...)

Mam u siebie dalszy ciąg eseju *Testament*, tylko muszę dać gdzieś do przepisania na maszynie i prześlę go Panu. Zajmuję wciąż pozycję leżącą, mam już projekt pejzażu w zupełnie odrębnym stylu. Mam możliwość w jaśniejszych momentach utrzymania pędzla, co daje ciekawe efekty.



II. 9. A. Długosz, *W górach*

Odwiedziny Pana będą moim wspaniałym dniem i radością. Jestem wzruszony Pana troskliwością i serdecznością, za co jestem niewypowiedzianie wdzięczny. W Domu naszym mam wszystko, co mi potrzeba, a przede wszystkim wyjątkową opiekę. Łączę mocny i bardzo serdeczny uścisk dłoni, tylko nie taki mocny, jak się nim popisywałem w szpitalu gorlickim, kiedy byłem na obserwacji.

Alfred DŁUGOSZ

(Siostrzenica artysty, p. Maria Zaradzka dołączyła do listu – swój, komentujący stan stryja)

(...) Byłoby Panu na pewno bardzo miło zobaczyć, ile wzruszenia i radości sprawiły Stryjowi listy Pana do niego. Nie mogę wyjść z podziwu, że ten bezsilnie leżący w łóżku biedaczek potrafił jednym ciągiem podyktować mi ten tak obszerny list. (...) Najgorsze, że ma duże trudności z czytaniem, zakłada aż potrójne okulary. Ze zdrowiem nie jest dobrze! Po 8 dniach odesłano Go ze szpitala, widocznie uznali, że więcej zrobić nie mogą. Ma lekkie porażenie prawej strony, stąd niedowład ręki prawej. (...) Najbardziej obawiam się u Stryja całkowitego załamania z chwilą, kiedy by się przekonał, że nie będzie już mógł malować, bo to jest jedynym celem i sensem jego życia. Widocznie myśli o tem, bo wspomniał mi, że w końcu będzie malował lewą ręką. Imponujący jest jego spokój i pogoda ducha. Niewypowiedzianie to wszystko smutne. (...)

Urodziła się w Warszawie, 20 marca 1873 roku. W młodości miała znakomity głos i wróżono jej wielką karierę, lecz nauczyciel śpiewu a zarazem przyjaciel rodziny nagle stwierdził, że nie może jej dalej uczyć, bowiem we śnie pojawił mu się „dziadek i powiedział, że nie życzy sobie za żadne skarby, żeby jego wnuczka została operową śpiewaczką”. Wolę dziadka uszanowano, ku jej rozpaczy. „Wtedy, mówiła, chcąc położyć kres moim cierpieniom wydano mnie czym prędzej za mąż, jeszcze nim ukończyłam siedemnasty rok życia”. Została żoną, później matką, przez lata prowadziła normalne, mieszczańskie życie, zajmując się domem, a sztuką interesowała się tylko o tyle, o ile chodziło o ukochanego syna Henryka. Wierzyła w jego talent, mądrość, zmysł handlowy, ale jego abstrakcyjne malarstwo, wynalazek mechanofaktury, były jej obce.

Kiedy jednak Henryk postanowił na stałe zamieszkać w Paryżu i prosił matkę, by do niego przyjechała, zdecydowała się to uczynić. Miała wówczas 55 lat. W Paryżu wiele czasu siedziała w domu, czekając na syna. Wciąż traktowała go jak genialne, ale przecież dziecko (kiedyś, gdy oboje byli w Warszawie nadeszła depesza wzywająca go do Paryża na kilka dni. Wtedy pani Helena wzięła mnie na bok i zapytała z całą powagą: jak Pan mi radzi, panie Aleksandrze, czy mogę go tak samego puścić, czy polecić razem z nim? Synek miał wtedy 72 lata, ona 93). Otóż, jak napisała w swych wspomnieniach: „Nauczyłam się czekać, ale często wprost nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Artyzm jednak w jakimś zakamarku mej duszy głęboko tkwił. I tak oto przyszedł dzień 14 stycznia 1952 roku. Padał puszysty śnieg, a ja byłam sama. Syn poszedł na konferencję, powiedział abym się położyła, ponieważ późno wróci. Ale ja nie chciałam ani spać, ani czytać, ani pisać. Pomyślałam, że czymś się przecież muszę zająć. I gdy tak biję się z myślami, oglądam się na wszystkie strony, oczy moje spoczywają dłużej na wazonie stojącym na stole z pięknymi, żółtymi mimozami. Mówię do siebie – to byłby świetny model na obraz. Ale ba! Przecież ja nie umiem malować, nigdy się tego nie uczyłam. Więc znów myślę, żeby tak spróbować, co to szkodzi, uda się – to dobrze, a nie – to trudno! Ja tu niczym nie ryzykuję. Decyduję się. Szukam jakiegoś papieru, na którym mogłabym położyć rysunek. I oto już znalazłam duży, gruby karton do pakowania, w kolorze brązowym. Stawiam go na sztalugi (to wszystko znajduje się w pracowni mego syna). Ze wszystkich znajdujących się pędzli wybieram sobie najmniejszy, może naj-

gorszy, bo dobrego nie chcę psuć, ażeby nie zrobić szkody Henrykowi. A co dalej? Kolory, farby, nic nie wiem. Po prostu wezmę do tego ten niebieski atrament, co jest w kałamarzu na stole. I tak zabieram się do pracy. Gdy tylko zaczęłam malować tym małym pędzelkiem, cały świat znikł. Już o niczym nie myślałam, zatopiona byłam w malarstwie całą duszą i jestestwem moim, spoglądając na te kwiaty przenoszone na karton, ręka sama prowadzi i nie wiem czy dobrze czy źle. Nie zdaję sobie absolutnie sprawy z tego, a czas leci jak mgnienie oka. Jest pierwsza w nocy. Przychodzi Henryk. Gdy tylko uchyla drzwi, oczy jego padają prosto na obraz już skończony, stojący sobie na sztalugach. Mówi: Widzę tu jakiś nowy obraz, mamusiu, kto go tu przyniósł? (jest bowiem przyzwyczajony, że przynoszą mu do oceny obrazy, jako do eksperta). Dolatuje szybko do obrazu, z zaciekawieniem ogląda go i mówi jakby do siebie: Coś nowego, jakaś nowa technika? Aleś mi jeszcze, mamusiu, nie powiedziała kto ten obraz przyniósł? Istotnie. Nie odrzekłam mu nic na jego pierwsze pytanie. Po prostu wstydziłam się. Byłam jakby zażenowana, milczałam. Gdy spostrzegłam, że go ten obraz interesuje, nabrałam odwagi i odpowiedziałam cichutko – to ja. Zaczął się śmiać – mamusiu, żartujesz. Przecież nie mogłabyś takiego obrazu tak namalować, nie uczyłaś się tego, nigdy nie miałaś pędzla w ręku. Ja odpowiadam na to: Wiesz dobrze mój kochany, że ja nigdy nie kłamie, jeżeli ci mówię o tym, to szczerą prawdą. I opowiadał mi cały przebieg wieczoru, po jego wyjściu z domu. Wówczas on mi odpowiada – jeżeli tak, to możesz dalej kontynuować i malarstwo będzie twoją karierą, i ja będę się tobą w tym względzie opiekował i dostarczał ci do tego celu dobre i odpowiednie przybory w najlepszych gatunkach. Ażeby zaś nasze kariery prowadzone były oddzielnie, żeby jedno drugiemu nie mąciło w niczym, musimy znaleźć dla ciebie, mamusiu, jakiś odpowiedni pseudonim, który by z tobą licował i jednocześnie uniezależnił cię całkowicie. Zaczęliśmy więc oboje myśleć o tej kwestii tak dla mnie ważnej i po dłuższym zastanowieniu udało nam się wynaleźć pseudonim Hel-Enri, to jest przez połączenie Hel – od mego imienia Helena i Enri – od imienia mego syna Henri.”

W dwa lata później miała pierwszą wystawę. Debiut w Galerii Bénézit stał się małą sensacją Paryża. Malarka miała wówczas 81 lat. Przyjął ją w Pałacu Elizejskim prezydent René Coty, władze miasta zakupiły obraz do zbiorów. Prasa rozpisywała się, była



II. 10. Helena Berlewi z synem Henrykiem



II. 11. Hel Enri: *W duchu Van Gogha*, pisaki, akwarela, 20,5×22,5 cm, 1961

II. 12. Hel Enri: *Kwiaty*, pisaki, akwarela, 50×60 cm, 1971. Kolekcja dra Bolesława Nawrockiego



przecież o rok starsza od Babci Moses. Zaczęły się wystawy, jeździła na nie wraz z synem. Poznałam ją w Warszawie w 1966 roku. Przypadliśmy sobie do serca, zapraszała mnie co wieczór na ... kieliszek koniaku. Była pełna wigoru, tylko chodziła z trudem. Twarz miała dobrą, mądrą, porytą siecią zmarszczek, a w niej jasne chabrowe oczy.

W setną rocznicę urodzin otrzymała z rąk Prezydenta Legię Honorową. Francja stała się jej drugą ojczyzną, ale wciąż mówiła, myślała i pisała po polsku. Syn umarł wcześniej od niej i odtąd nie mogła sobie znaleźć miejsca, chodziła po ulicach i płakała. Próbowwała malować, ale już bez dawnej radości, bez wewnętrznej potrzeby. Umarła 18 grudnia 1976 roku mając 103 lata.

„O Hel Enri trudno mówić jako o malarce naiwnej – pisał Ignacy Witz. Byłby to nonsens. Jej dzieło też ze względu na obfitość i samą malarską wagę przekracza tę wątlą granicę amatorstwa i czegoś, co jest „prawdziwe”. W poszukiwaniu etykiety dla tej starej czarodziejki kolorów myślę, że można ją nazwać malarką instynktu. Nie wiem bowiem, co innego niż instynkt, zmysł, może dyktować jej harmonie tak mistrzowskie, dysonanse tak dźwięczne, kapryśność zarysów, żywość konturu, płynność kompozycji – tak doskonale.”

Malowała kwiaty, algi, wodorosty – pędzelkiem a także pen-telami. W pracach dojrziałych tworzyła już nie tyle same kwiaty, ale jakby materię kwiecistości, coraz bardziej odrealnioną, chciałoby się powiedzieć – abstrakcyjną. Zapełniała niemal całą powierzchnię kartonu gęstwiną linii jakby rozrastającą się gdzieś od środka, od najmniejszej struktury. „Uderzenia pędzla miała lekkie, na jakie może pozwolić sobie tylko bardzo doświadczona ręka, układ dekoracyjny, harmonijny, zwiewny, ale bez nonszalanacji.” (Władysława Jaworska).

FRAGMENTY Z PAMIĘTNIKA

Byli nierozłączni, rozmilowani w sobie. Tylko on, z całej rodziny, był jej tak bliski. Widziała w nim genialnego malarza, opiekuna, a przy tym ukochane, bezbronne dziecko. Nie chciała się pogodzić z jego śmiercią. Dzieci nie powinny umierać przed rodzicami, prawda? Wpatrywała się w moją twarz oczami, które już nie miały łez. To niesprawiedliwe!

W dwa lata po śmierci Henryka, kiedy ją odwiedzałem, będąc w Paryżu, on był nieustającym tematem naszych rozmów. Długo chciała bym przychodził. Miała 99 lat i bała się starości. Tej samotnej, bezbronnej. Mówiła do pani Kernerowej, która się nią opiekowała: Zrób jutro dobry obiad, bo zaprosiłam pana Jackowskiego. Kup szynkę, pamiętaj, bez tłuszczu. To niech mi Pani da jeszcze 10 franków. Dziesięć? To będą 2 plasterki. Po co 2? On tyle nie je. Jeden wystarczy.

Kiedy przechodziłem, zawsze miała na sobie inną suknię, twarz „zrobioną”, włosy uczesane. Chciała, bym powiedział „Pięknie dziś Pani wygląda!”. Uśmiechała się wtedy i zaliła, jak jej ciężko, jak wciąż nie może się nauczyć być samotną. Pokazywała przepisane na maszynie kartki z Pamiętnika. Dzieliła się swym bólem, ale nie obojętne było dla niej, jak reaguję na te zapiski, na ich formę. Nie sądzę, by świadomie odwoływała się do Kochanowskiego, choć znała przecież historię literatury polskiej. Kiedy powiedziałem, że to są Treny na śmierć ukochanego syna, poważnie skinęła głową, i ukryła twarz w dłoniach. Tak, powtórzyła, to są Treny. Całe życie moje, to był on, mój Henio. A teraz muszę żyć... sama.

Zaczęła pisać, aby zająć się czymś, nie myśleć wciąż, w dzień i w nocy, o swojej rozpacz. Ale pisząc, tylko jej dawała wyraz. 8 lutego 1970 r. zanotowała: „Tak mi Go brak, na każdym kroku! Z tego pisania mego okazuje się, że nie jestem w stanie opisywać moje codzienne przejścia życia. Gdy tylko zaczynam pisać – natychmiast wpadam w wir rozmyślań tak smutnych, że nie mogę wybrnąć z nich – i w ten sposób zapominam o faktach codziennych, szalenie urozmaiconych.

W ten sposób mijam się w zupełności z celem mojego pisania, który sobie założyłam.”

A.J.

13.I.67 r. Kochanie moje, Tyś znikł ode mnie, jak najcudowniej-szy świetlny meteor, przez który przechodziłam w ciągu przeszło 70 lat. I nagle, niespodziewanie w bardzo krótkim czasie – odesz-łeś ze świata, jak ten meteor – zgasieś!

Heniusiu mój drogi, Chaim–Schlojmeleben, (leben – to życie). Ty żyjesz stale i wiecznie w moim sercu i pamięci, nigdy, przenigdy Ciebie nie zapomnę. Te wspomnienia o Tobie wypeł-niają całą moją duszę i moje istnienie. Wstaję z niemi – z Twoim imieniem i kładę się spać tak samo i czasem całą noc rozmawiam z Tobą, przypominając te szczęśliwe chwile, spędzone zawsze i wszędzie razem – czy to nasze podróże po świecie, czy osiedlenie czasowo gdzieś na stałe. Były razem. Czuliśmy się szczęśliwi. Podczas każdej, najkrótszej rozłąki – czuliśmy się osamotnieni! Jak ja się mogę teraz czuć, gdy odszedł ode mnie na zawsze na wieki! Moja teraz prośba do Boga: aby zabrał Twoją świętą duszę do siebie, do Raju z aniołami wśród największych Cadyków, do najwyższych Niebios!

Teraz znów mogę zapłakać nad moim drogim dzieckiem Heńkiem. Muszę ukrywać moje bolesne łzy. Moje najbliższe otoczenie zabrania mi tych łez i tego mego bezgranicznego smutku, a ja nie uznaję życia bez tych uczuć.

13.IX.67 r. Niedziela. Aż cztery dni nie pisałam do Ciebie, Ty mój ukochany Heniusiu, ale w sercu moim jesteś stale, ani sekundy w dzień i w nocy i we śnie. Znalazłam karteczkę ze szpitala, gdzie w męczarniach Twoich, Twoją ręką i Twoim wielkim uczuciem synowskim piszesz „Mamelejb”. Karteczkę tę trzymam stale przy sobie, jako symbol Twojej wielkiej miłości do mnie, jakiej w całym świecie się nie znajdzie. I to do ostatniego Twojego tchnienia. U Ciebie ja zawsze byłam na pierwszym planie, a Ty słodycz moja – na ostatnim; czy to do jedzenia, czy do leczenia jakiegoś bólu – ja byłam największą troską. Zaś o Twoim zdrowiu nigdy nie myślałam. I to było wielkim błędem naszym, żeś nie pilnował swego zdrowia, jak oka w głowie. Nie pomyślało się co się stanie ze mną, jak Ty kochany mój odejdziesz ode mnie, jak będziesz mi brakował na każdym kroku.

W jakich cierpieniach ja się zostanę bez Ciebie!

Jak mała bezradna łódeczka na wzburzonym morzu bez steru. Jestem tu, jak biedne, malutkie jagniętko niezaradne, nieszczęs-liwe, poddające się bezzilnie każdej woli. Każdemu i wszystkim razem.

28.IX.67 r. Tej nocy obudziło mnie silne stukanie we drzwi z ulicy i wyraźne wołanie: „Mama!” Zaczęłam w odpowiedzi krzyczeć, budząc Lenę i dziś rano ona mi to potwierdziła. Okazuje się, że stale i ciągle jestem z Tobą razem, czy to na jawie, czy we śnie.

4.X.67 r. (12-ta w nocy). Jestem teraz otoczona ludźmi, ubolewającymi nad stratą tak wielkiego i szlachetnego Człowie-ka, jakim Ty byłeś, Synusiu mój drogi. Opisują mi, żeś Ty był „lumiere świata”, po Twoim zgonie – świat stał się ciemniejszy i zimniejszy. Ale cóż mi z tego? z tej chwały nad Tobą i podziwu? kiedy Ciebie nie ma przy mnie. Jest mi smutno i tęskno za Tobą. Nic mnie nie interesuje, nie zajmuje oprócz myśli i wspomnienia o Tobie, Syneczku mój ukochany. Jestem teraz sama, samotna, wszyscy śpią, już jest 1-sza w nocy. Sen mnie zmorzył – położył się.

Każda rzecz od najmniejszej do największej – przypomina mi Ciebie. Kochanie Ty moje! Tyś mnie całe życie starał się wszelkimi siłami, całą Twoją energią – wywyższyć, upiększyć! Nieraz nawet z uszczerbkiem dla siebie. I dokonałeś Twego czynu, zostałam uznana przez ludzi, przez świat. Tyś mnie ukoronował chwałą i miłością u ludzi. Tobie, Synusiu mój drogi mam do zawdzięcze-nia to wszystko. Tym bardziej Cię kocham i tęsknię za Tobą. Tak bardzo brak mi Twoich światłych rad, mądrych, bez których ja się teraz czuję, jak na rozdrożu bezradna ...

10.X.67 r. Wtorek. 1-a w nocy. Nie mogę spać Synusiu mój kochany, ły mi się leją i leją. Chcąc ulżyć memu sercu – piszę do Ciebie. Czuję się samotna i opuszczona gdy Ciebie tu nie ma ze mną. Im więcej czas mnie oddala od Ciebie – czuję silniej swą samotność. Nic na świecie nie jest w stanie wypełnić mi tej pustki. Znajomi pocieszają mnie, że wszak mam jeszcze dwoje dzieci, ja dziękuję Bogu za to, ale nie mogę wymagać od Mańka [drugi syn

– A.J.], aby on się mną zajmował tak bardzo, on ma swoje interesy, swoich znajomych, przyjaciół, przyjaciółki, jednym słowem – swoje życie ... Że się czasem ze mną widuje i dobrym słowem obdarzy, czy też telefonuje, też jest dobrze. I na pewno dużo myśli o mnie.

12.X.67 r. Siedzę na ławce, tuż koło mieszkania naszego. Mam wolną chwilę, jestem sama bez ludzi, mogę się oddać kontemplacji. O kim? Naturalnie, że tylko o Tobie Heniusiu mój drogi! Ukochany słodki Syneczku mój! Pisanie do Ciebie rozrzewnia mnie i od razu łzy się leją. Chcę wypłakać przed Tobą miłość do Ciebie, mój smutek, moją tęsknotę za Tobą, moją samotność bez Ciebie i tym samym moją bezradność, zwykłą, codzienną, ale stokroć większą bez Ciebie, bez Twoich rad tak dobrych, kochanych, bezinteresownych, serdecznych i szczerych. Nie można nawet tego wszystkiego żądać od kogo innego, nawet od najbliższych. Każdy ma swoje życie, swoich umiłowanych, swoje dążenia, swoje interesy. To my tylko byliśmy jednością, jedno dla drugiego, jak jedna całość. Żyliśmy jeden dla drugiego – wzajemnie. I to zostało rozdarte za życia na zawsze! Chyba w Niebiosach nasze dusze znów się połączą. A tymczasem muszę żyć, ale w cierpieniach, w smutku i tęsknocie.

18.VIII.69 r. Przechadzając się przed domem mego mieszkania na powietrzu podparta z jednej strony parasolką (a nie kijem). O błoga zalotności w moim wieku – urodziłam się w 1873 r., wiecznie trwająca, a z drugiej strony, trzymając się muru – głęboko zatopiona w myślach – proszę Boga o przebaczenie mi moich win, popełnionych może bezwiednie wobec Niego – Wszechmogącego!

NOTKA BIOGRAFICZNA HEL ENRI

- 1873 20 marca rodzi się w Warszawie Helena Berlewi.
- 1928 Wyjazd na stałe do Paryża.
- 1952 Pierwszy obraz.
- 1954 Pierwsza indywidualna wystawa w Galerii Bénézit w Paryżu. Malarka przybiera artystyczny pseudonim Hel Enri. Audjencja u Prezydenta Republiki Francuskiej René Coty w Pałacu Elizejskim w Paryżu. Miasto Paryż nabywa jeden z obrazów.
- 1955 Udział w wystawie „Découvrir” w Galerii Charpentier w Paryżu.
- 1958 Udział w wystawie „Malarstwo Naiwne” w Galerii Aenne Abels w Kolonii. Salon Niezależnych w Paryżu.
- 1958 Indywidualna Wystawa w Warszawie w Kordegardzie, na zaproszenie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Zakup trzech obrazów do Muzeum Narodowego w Warszawie.

- Druga wystawa indywidualna w Sopocie z okazji Festiwalu.
- 1959 Druga wystawa indywidualna w Galerii Bénézit w Paryżu. Rząd Francuski nabywa jeden z obrazów. Miasto Paryż również nabywa obraz. Salon Niezależnych w Paryżu.
- 1960 Wystawa indywidualna w Galerii Suzanne Bollag w Zurychu. Wystawa indywidualna w Galerii Suzanne Feigel w Bazylei. Salon Niezależnych w Paryżu. Główna rola, jako malarki, w filmie Marianne Oswald, *Bouquet de Femmes* (Bukiet kobiet), poświęcony twórczości malarek: Louise Moillon, Elisabeth-Louis Vigée-Lebrun, Berthe Morisot, Suzanne Valadon, Veronique Filsof, Sonja Delaunay i Hel Enri. Film ukazał się w Telewizji Francuskiej.
- 1961 Salon Niezależnych w Paryżu. Udział w Wystawie Międzynarodowej „Laienmaler” (Malarze amatorzy) w Gewerbemuseum w Bazylei oraz w wystawie „La Peinture Naive” w Galerii Bettie Tommen w Bazylei.
- 1962 Salon Niezależnych w Paryżu. Udział w Wystawie „Peinture-leur Violon d’Ingres”, zorganizowanej przez baronową Alis de Rothschild w Galerii Charpentier w Paryżu. Wystawa indywidualna w Klubie Artystycznym „Die Insel” w Hamburgu. Udział w drugiej wystawie „Peinture – leur Violon d’Ingres” w Galerii Charpentier w Paryżu. Salon Niezależnych w Paryżu.
- 1963–1964 Wystawa indywidualna w „Haus am Lützowplatz” w Berlinie.
- 1964 Udział w wystawie Sztuki Naiwnej w Salzburgu. Udział w wystawie Galerii Neundorf w Hamburgu.
- 1965 Udział w wystawie „Peinture Naive” w Galerii „La Boétie” w Nowym Jorku. Udział w trzeciej wystawie „Peinture-leur Violon d’Ingres” w Galerii Charpentier w Paryżu.
- 1966 Udział w Salonie „Club International Féminin” w Musée d’Art Moderne w Paryżu. Udział w wystawie IV Pleneru Koszalińskiego w Osiekach.
- 1967 Udział w wystawie „Naive Kunst aus Polen” w Stuttgarcie (18 prac) Udział w wystawie „Art Naïf Polonais”, Musée des Beaux-Arts w Neuchâtel (27 prac).
- 1969 Wystawa w Buenos-Aires.
- 1970 Wystawa indywidualna w Galerie Verrière w Lionie
- 1976 18 grudnia, w wieku 103 lat Hel Enri umiera.

Fot.: Jan Świdorski – il. 4, 7, 9, 10; Kadr z filmu Konstantego Gordona *Kwiaty Hel Enri*, 1967 – il. 8